



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

2

— Bierze się zajęcie pierwsze lepsze.
— A jeżeli nic nie ma pod ręką?
— Szuka się.
— A jeżeli się nie znajduje?
Burzuj, spostrzegłszy z obrotu rozmowy, że nie grozi mu utrata życia, nabrał pewności siebie. Monte-Leon stał na uboczu, zażenowany.
— Mój panie — ozwał się wuj do Carboniera — kto chce tylko, ten pracę zawsze znajdzie.
— To fałsz!
— Czy aby macie jakie mieszkanie?
— Ale gdzież tam!
— No, to po prostu włóczęgostwo!
— Zupełna racja, cny Auguste!
— Naprzód, mój panie, nie nazywam się August i z przykrością muszę panu powiedzieć, że gdy się nie ma mieszkania...
— To siedzi się w domu, co?
— Ach! Gdybyście byli moimi synami, to jabym was zapędził do pracy.
— Zapędziłbyś pan nas, czyżby?
— Tak, powtarzam!
Carboniera ujął go za ramię.
— Puść mnie pan, cóż to znowu! — zaprotestował burzuj, zmieszany śmiałością tego Herkulesa o dzikiem spojrzeniu.
I jał rozglądać się o pomoc.
— Ani jednego policyanta, jak na złość! — rzekł Carboniera. — Nie przewracaj pan tak ślepiami, bo to na próżno.
— Czego pan chcesz odemnie?
— Czego chcę od pana? Mówiłeś pan, żebyś nas zapędził do pracy. Otóż, ani ja, ani mój przyjaciel nie opuścimy pana.
I chwycił za rękę zgorszonego opiekuna.
— Przedstawiam panu pana Monte-Leona, jednego z naszych rzeźbiarzy przyszłości. Tymczasem, jest to rysownik do rozporządzenia. Czy pan nie potrzebuje na nauczyciela rysunków dla... dla pani? No, mówże, stary Filistynie!
Pasażer zrobił gest zgrozy.
Siostrzenica przyglądała się Monte-Leonowi z zaciekawieniem.
Carboniera badał dalej:
— Nie masz pan nic do rysowania? Może coś na meblach, na zegarze ściennym, może na porcelanie starej, co?... A może portret własny... Panie, to byłoby do oglądania...
— Mam własny portret, wykonany przez wielkiego malarza z Capecure.
— Capecure?
— Tak jest, w Boulogne-sur-Mer.
— Ach, to pan stamtąd? To dlatego wygląda pan tak czerstwo na twarzy.
— Mój portret, w trzech czwartych naturalnej wielkości, kosztował trzysta franków — dodał z godnością pocziwiec.
— Trzysta franków! Ależ to musi być coś wspaniałego, zważywszy ceny obrazów olejnych. Sto franków za ćwierć wielkości! Mój przyjaciel wykona panu całą twarz za dwa franki.
— Ach, więc rysuje?
— Doskonale.
— A czy mógłby rysować wzory na materje?
— Sięga talentem aż do takich granic. Więc pan dobrodziej prowadzi ten artykuł?
— Jestem fabrykantem: Vernier & Co.
Carboniera wypuścił rękę przemysłowca z szacunkiem, wyśmienicie udanym.

— Jeden z najlepszych domów handlowych — oświadczył z efronterją. — W materiałach damskich nie znam firmy lepszej.

Poczem dodał po chwili:

— A więc zgoda, mój przyjaciel otrzymuje miejsce rysownika u pana dobrodziej?

Wujaszek spojrzał na siostrzenicę, nie wiedzącą, co począć i już gotów był czmychnąć.

Panią jednak znała czułą stronę wujaszka.

— Robiłby tanio wujowi — rzekła.

On zaś, prawie, że na głos:

— Ja myślę, że nie rościłby sobie wielkich pretensji, zwłaszcza od swego dobroczyńcy.

Monte-Leon był wręcz oszołomiony nieprawdopodobnym kierunkiem, jaki przybrała ta sprawa.

— Czy pański przyjaciel jest niemową? — zapytał pan Vernier Carboniera.

— Ależ bynajmniej, tylko czuje się skępowanym aż do lekliwości. Co zaś do pańskiego sługi...

— Niepodobni jesteście panowie do siebie pod tym względem.

— Tak pan sądzi?

— O, wcale niepodobni.

— Ach!

— Otóż, jeśli on chce pracować, może mi przysłać próbki swojej roboty. Proszę, oto nowy deseń. Jeżeli go potrafi skopiować i dostarczy referency, to go wezmę do Boulogne-sur-Mer.

— A mnie?

— Pana?

— Tak, mnie. Ja bo mam także talent jako literat.

— Literat?

— To znaczy powieściopisarz, przy okazji nawet poeta...

Pan Vernier pokręcił głową.

— Kto ma takie bary, jak pan, to powinien być raczej siłaczem jarmarcznym lub tragarzem do przeprowadzek.

Carboniera pomyślał chwilę.

— A wie pan, to idea! Do przeprowadzek? Ja, co tak kocham się w cackach i drobiazgach, miałbym rozkoszne chwile.

Fabrykant postąpił parę kroków z siostrzenicą.

— Możesz mi pan przysłać swoje rysunki do końca tego tygodnia na ulicę Lafayette, hotel des Etrangers. A dołącz pan swój adres.

— Hm! To będzie trudno — pomyślał Carboniera.

— Owszem, panie — rzekł Monte-Leon.

Były to jego pierwsze słowa od chwili spotkania.

Gdy się znaleźli sami na ulicy, obaj przyjaciele jeli się patrzeć wzajem na siebie w milczeniu, poczem Carboniera buchnął serdecznym śmiechem.

— Zdaje się, że skutek — zaczął — masz przyszłość zapewnioną.

— Ja, przyszłość?

— Ależ tak, biedaku. Jedziesz do Bolonii. Dostajesz na razie co najmniej sto franków miesięcznie.

— Możliwe, a potem?

— A potem, dalszy ciąg wynika sam ze siebie. Zaznajomiwszy się z siostrzeniczką, kochasz ją, ona ciebie kocha i żenie się! Szczęśliwiec, niech cię licho!

Gdy pomyśle o losie, jaki cię czeka, ubolewam nieco nad dolą przeprowadzaczka. Ale ty mnie wydobędziesz stamtąd.

— Kpiasz z ciebie, ale tymczasem nie mamy ani centyma.

— Ach! gdyby za powieść dało się co zdobyć! Ale gdzie tu szukać wydawcy! Ani na pokazanie!

— Czy ty aby masz co wykończonego, mój drogi?

— Mam, studium poetyczne, noszące tytuł: „Melodya serca”. Wiesz przecie, że bywam sentymentalny, jak szkapa czyszczona zgrzeblę, gdy mnie to chwyci.

Mont-Leon pomyślał chwilę.

— Czy bardzo cenisz te swoje „Melodye serca”.

— Jak żrenicę w oku.

— Do licha! Więc gdyby ci zaproponowano sprzedać je pewnemu rabusiowi literackiemu, któryby je wydrukował przez jedną z agencji...

Przyjąłbym, mój drogi, ale trzebaby to opracować. Piętnaście franków warte, jak jeden grosz!

— Przypuszczam, że dostaniesz więcej, ale trzeba zrezygnować z miłości własnej.

— Rezygnuję.

— Udajże się więc do niejakiego Z*** i ofiaruj mu swoje „Melodye”.

— Ależ to znany pisarz. Czy jesteś pewny, że on to robi?

— Jaknajpewniejszy. Sam mu już sprzedałem małą rozprawkę o rzeźbie.

— Ach, więc to dlatego on pisze tak niewyraźnie o wszystkim. Otóż to erudyta i artysta, który mi się nieskończenie podoba.

— Dobrze więc. Ruszajże natychmiast do jego biura.

— Ileż mam zażądać?

— Pięćset franków... Może ci da z pięćdziesiąt.

— Daj mi adres tego współczesnego korsarza.

Monte-Leon wydobył z kieszeni bilet i wręczył go Carbonierze.

— Czekaj na mnie w kościele Saint-Germain-des-Prés i grzej się. Idę i wracam.

— Gdzież twój manuskrypt?

— W naszym starym mieszkaniu. Chyba, że gospodyni zużyła go na papiloty... lub gorzej. Bo te kartki to dyabło tentnujące!

I Carboniera puścił się w drogę.

ROZDZIAŁ II.

Uśmiech fortuny!

Korsarz, o którym mówił Monte-Leon, mieszkał na Montmartrze. Była to znakomitość literacka. Mówiono o nim: „Ten Z*** to zdolna bestya, pisze o wszystkim”. Pisać umiał, ale odpowiedzi na pytania czytelników zmuszony był, jak mawiał, zostawić swoim młodszym kolegom.

Carboniera został natychmiast przyjęty, pomimo złego wyglądu. Oświadczył, że pragnąłby ujrzyć w druku swój utwór „w jakikolwiek bądź sposób”, byle był drukowany. Z*** przejrzał robotę, przy czem robił głośnie uwagi:

— Styl jest, są i zalety, ale za dużo młodości, niedoświadczenia. Właśnie przygotowuję coś na ten temat... Kto wie! Może będę mógł to zużytkować do uwag. Czy pan czego nie potrzebuje, kochany koleżko, w zamian drobnej przysługi? Gdybym mógł panu służyć czterema luidorami...

— Ja bo liczyłem na pięćset franków za to studium — odparł Carboniera, nie posiadając się z radości.

— To pięć razy za dużo — rzekł Z*** — podając mu życzliwie bilet stu frankowy.

Gdy młody człowiek znalazł się na bruku Paryża z taką sumą w ręku, radość o mało nie pozabawiła go zmysłów. Nędza zgasła w nim uczucie literackiego ojcostwa. A zresztą, wmawiał w siebie, że stanie się prawdopodobnie pisarzem przyszłości, skoro taki Z*** dał mu sto franków za powieść poetyczną.

Jał się przyglądać sklepom z satysfakcją człowieka, który ma grosz w kieszeni. Była chwila, że miał chęć wstąpienia do masarza, gdzie z okien nęciły wspaniałe pasztety. Ale poskromił chętkę.

— Nie — rzekł — tak nie byłoby dobrze. Musimy festyn odbyć razem, we dwóch.

I wziął nogi za pas. Doszedłszy do kościoła Saint-Germain-des-Prés, spostrzegł Monte-Leona, niespokojnie chodzącego tam i z powrotem.

— Sto franków! — zawołał Carboniera bez re-